

Azjatyckie skarby kultury i przyrody - Laos



Krzysztof Danielewicz



Security
in practice

Azjatyckie skarby kultury i przyrody: Tajlandia, Laos, Wietnam i Filipiny

Opracował: Krzysztof Danielewicz, 2024 r.

Część II - Laos

Tajlandia jak zwykle pozostawiła same cudowne wspomnienia, trudno wskazać chociaż jedną negatywną cechę Tajów czy ich wspaniałego kraju. Na sto procent wrócę tu jeszcze, i to nie raz, ale teraz czas na kolejną perełkę, czyli Laos.

18 grudnia o godzinie 9.00 miał przyjechać po mnie bus, bym w ciągu trzech dni i dwóch nocy znalazł się w pięknym Luang Prabang w Laosie, z czego dzień drugi i trzeci miałem spędzić na Mekongu, płynąc wolną łodzią – tzw. slow boat. Zawsze chciałem zaliczyć podróż po Mekongu, najdłuższej rzece na Półwyspie Indochińskim, która swoje źródła ma w Chinach w górach Tangla, na wysokości 5110 m n.p.m. Następnie płynie przez Laos, gdzie częściowo jest rzeką graniczną z Tajlandią, przez Kambodżę i Wietnam. Powierzchnia dorzecza Mekongu wynosi około 810 tys. km², a długość – 4500 km.

Zdjęcia 1–2. Bus podróżny do Laosu oraz przerwa na kawę.



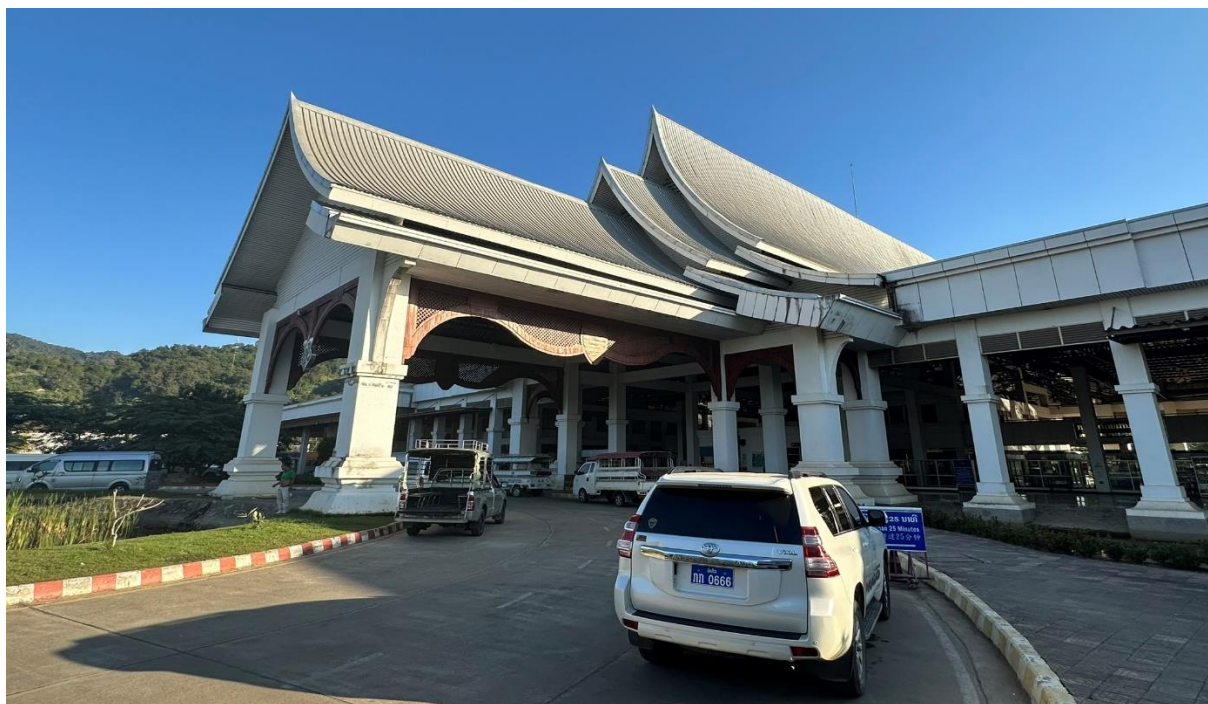


Ku mojemu zdziwieniu o godzinie 8.47 otrzymałem info od właściciela hoteliku, że kierowca już przyjechał. Wcześniej zjadłem w okolicznej kawiarni pyszne śniadanie, opłaciłem noclegi i znalazłem się w busie. Chwilę później dosiadło się jeszcze kilka osób. Po drodze mieliśmy przerwę na kawę i okazję do zacieśnienia naszej znajomości, szczególnie z Florance ze Szwajcarii i Zivem z Izraela – jakoś nam pasowało nasze towarzystwo. Cała nasza trójka planowała spędzić kilka tygodni w Indochinach, z czego Ziv ponad pół roku. Zaliczył już m.in. Nepal, Indie czy Indonezje. W Chang Rai mieliśmy godzinną przerwę na lunch i zwiedzanie białej pagody. Budynek robił wrażenie, ale jak dla mnie był kiczowaty i nie do końca rozumiem takie budowle, taki nasz Licheń..., bez komentarza.

Po przerwie kontynuowaliśmy podróż i po około godzinie dotarliśmy do granicy. Oba przejścia graniczne oraz most były nowe, widać niedawno oddane. Najpierw odprawa po stronie tajskiej, następnie przekroczenie mostu i kontrola na granicy laoskiej, gdzie każdy musiał zapłacić 40 USD za wizę, poza Florance, która jako Szwajcarka nie musiała jej mieć. Przed granicą z Laosem nasz kierowca tajski przykleił nam na koszulki czerwone naklejki i się pożegnał. Po drugiej stronie mostu przyjaźni laosko-tajskiej odebrała nas przewodniczka z Laosu i dowiozła do hotelu w miasteczku Ban Houayxay, oczywiście po załatwieniu wszelkich granicznych formalności. Na granicy grono naszych znajomych się powiększyło – poznaliśmy Izraelkę Gil

oraz dwóch przesympatycznych Holendrów: Pola i Rajmonda. Pol był właścicielem dwóch escape roomów oraz mechanikiem na statkach, natomiast pochodzący z Suri Namu Rajmond produkował i sprzedawał suszarki do całego ciała dla hoteli.

Zdjęcie 3. Przejście graniczne po stronie Laosu.



Po krótkim przystanku w biurze podróży, które nas przejęło po stronie laoskiej, trafiliśmy do hotelu. Ceny noclegów były wliczone w cały wyjazd, w związku z czym zakwaterowano nas po dwóch w pokoju, ja spałem w pokoju z Zivem. Standard bardzo średni, na dodatek płyta pod moim materacem okazała się złamana, więc mogłem spać tylko na połowie łóżka. Po szybkim prysznicu, już w ośmiorgo – tj. Polak, dwóch Izraelczyków, dwóch Holendrów, dwie Brytyjki oraz Szwajcarka – udaliśmy się na spacer w poszukiwaniu miejsca na zjedzenie kolacji. Przez cały czas towarzyszyła nam bardzo sympatyczna atmosfera. Następnie udaliśmy się na dalsze zwiedzanie głównej ulicy i wstąpiliśmy jeszcze na piwko do kolejnego baru. Po drodze, pomimo że było już ciemno, dostrzegliśmy kilka barów z pięknym widokiem na Mekong. Widać, że lokalna ludność zauważyła, jakie profity przynosi turystyka, więc pojawiły się nowe budynki nastawione na turystów. Okolice stwarza także wiele ciekawych możliwości spędzenia czasu – np. nasi sympatyczni Holendrzy dwa kolejne dni mieli przebywać w dżungli i spać na wysokości kilkudziesięciu metrów w drewnianych domkach, zbudowanych w koronach drzew. W drodze powrotnej poznaliśmy kolejne osoby – kilku Niemców i Holendrów. Generalnie należy stwierdzić, że turyści są wobec siebie bardzo otwarci, wymieniają się wiedzą

o ciekawych miejscach, transporcie czy hotelach – uwielbiam ten gatunek ludzi. Sama miejscowość sprzyjała tego typu kontaktom, ponieważ większość głównych restauracji, barów, hoteli czy sklepów jest zlokalizowana wzdłuż jednej ulicy. To był naprawdę fajny dzień, pomimo że zasadniczo polegał na przemieszczeniu się z Chang Mai do Laosu.

Zdjęcie 4. Główna ulica w Ban Houayxay.



Zdjęcie 5. Widok nocny na Mekong, po drugiej stronie Tajlandia.



Zdjęcie 6. Wspólna kolacja z nowo poznanymi turystami: pierwszy z lewej Ziv, pierwsza z prawej Florance, obok Florance – Pol.



Rano szybkie śniadanie – przez uszkodzone łóżko niestety byłem trochę niewyspany. Przy śniadaniu miła konwersacja z Polem, fajnym i otwartym gościem. Opowiadał, że kiedyś prowadził bardzo rozrywkowe życie, a od kilku lat dużo podróżuje. Po śniadaniu transportem dojechałem do przystani i załadowałem się na łódź. Pierwsze wrażenie sceptyczne, ponieważ było bardzo dużo ludzi i niewygodne miejsca. Miejsca ponumerowane leżącymi karteczkami, w układzie dokoła łodzi i jak w samolocie – frontem do kierunku podróży. Te dokoła okazały się wygodniejsze, więc szybko sobie zrobiłem podmiankę. Mieliśmy odpłynąć o 9.00, ruszyliśmy o 10.00, gdyż cały czas dochodziły nowe osoby. Lautañczyków było może ze 20, reszta – prawie 300 osób – to turyści w różnym wieku: od kilkuletnich dzieci po naprawdę zaawansowanych seniorów. Kiedy w końcu ruszyliśmy, ludzie zaczęli spacerować po pokładzie i zrobiło się przyjemniej. Można wejść na przód łodzi i na tył, robić zdjęcia. Okazało się też, że tył łodzi to nic innego, jak mieszkanie właściciela – znajdowały się tam kuchnia, toalety, pralka i salon z dywanem, z którego zresztą śmiało korzystali turyści, wygodnie śpiąc.

Zdjęcia 7–22. Widoki w trakcie podróży pierwszego dnia na Mekongu.





















Co jakiś czas łódź przybijała do brzegu i wysadzała po kilka osób. Tempo było bardzo spokojne, widoki cudowne, często mijaliśmy ogromne połacie lasów naturalnych z pięknym drzewostanem, w niektórych miejscach wyciętym pod pola uprawne. Przez jakiś czas z jednej strony mieliśmy Tajlandię, lepiej rozwiniętą, a po drugiej stronie Laos, jakby uśpiony, schowany w lesie. Mijaliśmy pola uprawne, łodzie rybackie, zwierzęta hodowlane, porzucane wsie czy domostwa. Widać było też duże projekty infrastrukturalne, jak nowe mosty nad Mekongiem. Zupełnie inny świat, gdzie ludzie żyją w dużej zgodzie z przyrodą, rzeką czy sezonami uprawy roślin.

O godzinie 16.40 dotarliśmy do pięknie położonego na wysokich brzegach Mekongu miasta Pakbeng. W polskich warunkach byłaby to duża wieś, w Laosie to miasto. Widać, że w większości jest nastawione na turystów. Po wypakowaniu turyści szybko zostali załadowani do pojazdów przysłanych przez dany hotel, a ci, którzy nie mieli jeszcze spania, od razu je znaleźli. Naganiacze, niczym z Zakopanego, szybko ich przechwytywali. Pokój tym razem miałem doskonały, koszt – nawet nie ma co wspominać: 15 USD za pokój dwuosobowy... Sama miejscowość to główna ulica, przy której położone były hotele, sklepy i restaurację. Można zjeść różne smakołyki za cenę pomiędzy 2 a 3 USD, rozpusta... Szybki prysznic

i kolacja, a po niej spotkałem moich znajomych: Florance i Ziva, tym razem jeszcze z parą innych Szwajcarów, których poznałem na przejściu granicznym z Laosem. Potowarzystałem im przy kolacji, a później przeszedłem się po uśpionej już miejscowości i udałem się na wypoczynek przed kolejnym ciekawym i intensywnym dniem podróży.

Zdjęcia 23–30. Pakbeng – piękna miejscowość położona nad brzegiem Mekongu.











Rano wczesna pobudka i przegląd wiadomości z Polski – dużo się dzieje, dla mnie bardzo pozytywnie i bardzo się cieszę, bo po raz pierwszy poważnie myślałem o emigracji, straszne... Tym razem miałem wygodne łóżko i dobrze ustawioną klimatyzację, więc organizm wypoczął. Godzina treningu, szybkie pakowanie i wyjście na śniadanie – tutaj tradycyjnie talerz świeżych sezonowych owoców. Szybki spacer po miasteczku, zdjęcia uliczki i portu. Nie było słońca, ale moim oczom ukazał się piękny widok małej miejscowości wciśniętej na wzgórzu, dokoła góry porośniętej pięknym lasem, a poniżej spokojnie płynący Mekong. Idealna miejscówka na kilkudniowy pobyt i spacer po okolicznych lasach i wsiach. Zdążyłem już dowiedzieć się od właścicielki pensjonatu, że do Luang Prabang można pojechać też autobusem, gdyby ktoś nie chciał płynąć cały dzień łodzią. Ustaliłem też, że organizuje trekking do wsi Hmongów oraz ma do wykorzystania samochód na dziewięć osób, telefon ustalony, więc w głowie pomysł już jest.

Wychodząc z pokoju, zauważyłem pajęczynę, a na niej ogromnego pająka, przynajmniej z 8 cm średnicy – szczerze powiem, że brakuje mi możliwości bezpiecznego oglądania lokalnej flory i fauny, pomysł jednak na to mam. Po szybkim spacerku zobaczyłem, że ludzie załadowani

na samochód za chwilę będą jechać do portu, poprosiłem więc o dwie minuty na spakowanie i dołączyłem. Do przystani było raptem 500 m, ale w ramach usługi hotelowej dowozili.

W przystani odbywał się załadunek ludzi i towarów, większość to – podobnie jak dzień wcześniej – turyści. Łódź była dużo mniejsza i mniej komfortowa, ale zająłem podwójne miejsce z nadzieją, że nikt się nie dosiadzie, i tak mi się udało. Po kilku minutach zauważyłem moich znajomych, którzy usiedli obok mnie. Statek był jak zwykle opóźniony, ludzi ciągle przybywało, ale miejsc coraz mniej, zaczęło się więc robić nerwowo, komu dołożą pasażera. Miejsca to siedzenia ze starych autobusów, które rozmiarami pasują na Lautauńczyków, ale na pewno nie na rosnącego Holendra czy Niemca. W końcu ruszyliśmy z niemal półgodzinnym opóźnieniem. Od razu dał się odczuć chłód, spowodowany brakiem słońca i bryzy wodnej. Ludzie błyskawicznie założyli kurtki, czapki czy skarpety. Pierwsza moja myśl: będzie masakra, 7–8 godzinach w chłodzie źle się skończy. Na szczęście po jakichś dwóch godzinach pojawiło się słońce i już było dobrze.

Zdjęcia nr 31–36. Pakbang porankiem.









Praktycznie zdecydowana większość trasy prowadziła wśród majestatycznych wzgórz porośniętych dzikim lasem. Widoki się zmieniały od czasu do czasu: czasami widziałem las, w większości bambusowy, czasami dużo starego i cennego drzewostanu. Co jakiś czas zawijaliśmy do brzegu, aby wysadzić lub przyjąć pasażerów. Sprawdziłem w telefonie i dowiedziałem się, że w niektórych przypadkach Mekong jest jedynym kanałem łączącym tych ludzi z resztą kraju, inne mają także połączenie lądowe. Mijaliśmy setki maleńkich zatoczek z hałdami białego i czystego piasku, naniesionego przez spływającą z gór wodę lub Mekong. Nieliczne położone po drodze większe wsie rybackie zachęcają do zatrzymania się na kilka dni i całkowitego wyciszenia. Nigdy w życiu nie widziałem takich bajecznych i oddalonych miejscowości. Niewiarygodny potencjał turystyczny, pewnie sobie jeszcze Lautañczycy nie zdają z tego sprawy, ale tak jest. Nie zauważyłem też wielu śmieci zarówno w rzece, jak i na brzegu. Na piaszczystych brzegach wygrzewają się kozy, krowy różnego rodzaju czy świny, widać też ogródki uprawne, naprawdę sielsko, a ruch na rzece jest bardzo mały.

W trakcie jednego z przystanków łódź szybko zaczęły okupować dzieci, w większości dziewczynki, które sprzedają turystom wyszywane bransoletki. To bardzo dobrze dla ich rozwoju, że nie wołają „money, money” jak w Afryce, tylko uczą się biznesu. Po pewnym

czasie łódź odbiła od brzegu i część dzieci nie zdążyła z niej zejść, ale poradziły sobie – skoczyły do wody i dopłynęły do brzegu z kasą i bransoletkami.

Zdjęcie nr 37–51. Drugi dzień rejsu po Mekongu.





















Ludzie na łodzi pierwsze godziny siedzieli spokojnie, bo wczorajsze zmęczenie dawało o sobie znać. Z godziny na godzinę jednak zaczęli ponownie ze sobą rozmawiać, podtrzymywać wcześniej zawarte znajomości, pić piwo, grać w karty, czytać. Czulo się świetną i bardzo przyjacielską atmosferę. Ludzie o podobnych upodobaniach, bez względu na pochodzenie narodowe, są tacy sami: mili i otwarci dla siebie.

Około 17.00 dobiliśmy do Luang Prabang, ale tu niespodzianka: nie w pobliżu najważniejszej, turystycznej części miasta, a w rejon lotniska. Po zejściu z łodzi i zlokalizowaniu swojego bagażu musieliśmy podejść pod bardzo wysokie schody. Na górze znajdowała się tablica z informacją, że trzeba kupić za około 2 USD bilet na tuk tuka do centrum miasta. Po dojechaniu pożegnałem się z Florance i Zivem i każdy pojechał w swoim kierunku. Pewnie można byłoby bliżej wysadzić nas z łodzi, ale wtedy nikt by nie zarobił na taksówkach.

Miałem małe problemy ze znalezieniem hotelu, ale po pół godzinie już byłem w mieście i na nocnym markecie zjadłem tradycyjnie rybkę. W międzyczasie pojawiła się Florance z zakupami, chwilę pogawędziliśmy i sam już poszedłem podziwiać pięknie oświetlone budynki. Ze wszystkich miast, jakie widziałem w Tajlandii, Laosie, Kambodży czy Wietnamie, Luang Prabang jest najpiękniejszy. Miasto znajduje się zresztą na liście dziedzictwa kultury UNESCO.

Lokalizacja wśród zalesionych gór, Mekong i jego dopływ oraz połączenie stylu kolonialnego z tradycyjnym laoskim powodują, że jest ono unikatowe. Człowiek chodzi po nim godzinami i nie ma dosyć. Szerokie i wąskie uliczki, fantastycznie odrestaurowane kamienice, wszędzie bazy, sklepy, kawiarnie, restauracje czy hotele. Trudno to opisać, trzeba zobaczyć samemu. W każdej lepszej kawiarni czy restauracji jest wi-fi, więc pijąc kawę, można posiedzieć w telefonie na swoich ulubionych portalach społecznościowych. W pokoju wylądowałem około 23.30.

Zdjęcia nr 52–61. Luang Prabang wieczorową porą.













Rano, 21 grudnia, długo spałem – trzy dni w podróży zrobiło swoje. Gimnastyka i o 11.00 udałem się w poszukiwaniu śniadania. Po chwili marszu znalazłem kawiarnię, gdzie zjadłem musli i świeże owoce zalane naturalnym jogurtem – wszystko niesamowicie pyszne i dające kopa energetycznego. Kawalek dalej wypilem sok z wyciskanych owoców, awokado, mango i imbir – kolejna dawka energii i zdrowia. Spacerowałem i robiłem zdjęcia, jednak ponownie miałem pecha: nie było słońca. W maju wynikało to z zapylenia od wypalanych lasów, a dzisiaj przez chmury. Z drugiej jednak strony nie ma upału, więc człowiek się nie męczy. Po jakimś czasie konieczne okazały się kawka i małe piwko Beerleo. Kolejne godziny spędziłem na spacerowaniu po uliczkach w rejonie Mekongu, odwiedziłem też liczne i pięknie odrestaurowane świątynie buddyjskie. Wzdłuż Mekongu ciągną się kawiarnie i restauracje z tarasami widokowymi. Dla chętnych oferowane są łodzie, różnego rodzaju, do wynajęcia. Kilka z nich oferuje kolację, drinki i rejs po Mekongu o zachodzie słońca, ale niestety dzisiaj go nie było. W tym mieście nie da się nudzić: można spacerować, pojechać na wycieczkę, wynająć łódź tylko dla siebie czy małej grupy, wynająć rower lub skuter, iść na masaż, o pysznych kulinariach nawet nie wspominać. Po południu musiałem wrócić do hotelu doładować telefon. Wieczorem ponownie spacerowałem po pięknym mieście, podjadając co rusz świeże owoce oraz inne smakołyki. Wszystko zdrowe, świeże i śmiesznie tanie.

Kolejnego dnia powtórka z rozrywki – rano trochę rozciągania i gimnastyki, następnie aparat w rękę i spacer po mieście i okolicach. Śniadanie zjadłem w tym samym miejscu i takie samo, następnie ponownie pyszny sok, no i kawka espresso. Na szczęście tego dnia słońce w końcu się pokazało i pozwoliło zrobić ciekawsze, pełne optymizmu ujęcia. Uliczki są bardzo zadbane – widać, że co rusz ktoś remontuje lub coś buduje. Miasto staje się coraz piękniejsze, a i tak jest jeszcze trochę do zrobienia. Przyszłość szykuje się bardzo optymistycznie dla miasta i jego mieszkańców. Więcej turystów to lepsze zarobki dla ludzi, którym poza turystyką trudno byłoby znaleźć zajęcie. Póki co ceny są bardzo atrakcyjne, zarówno jedzenia, jak i usług czy hoteli. Za 50–60 PLN można już znaleźć przyzwoity pokój dwuosobowy z łazienką.

Nawet chodząc tymi samymi uliczkami, odkrywałem inne rzeczy. Lubię się przyglądać, jak żyje lokalna ludność. Mają swój system, poranny targ, śniadanie, później gdzieś szybki obiad i wieczorem znowu jedzenie na nocnym markecie. Wszystko to funkcjonuje jakby niezależnie od tysięcy turystów krążących wokół. Jedzą swoje przysmaki, niektóre są także testowane przez co odważniejszych turystów.

Zdjęcia 62–76. Luang Prabang w całej okazałości.





















Ceny są zupełnie inne w bocznych uliczkach u lokalnych sprzedawców, a jeszcze inne na głównym nocnym markecie, gdzie jedzą turyści. Obserwując życie miejscowych, ma się wrażenie, że u niektórych z nich polega to na ciągłym zwijaniu i rozwijaniu straganu. Dzień wcześniej wieczorem kupiłem świeży wyciskany sok i wdałem się w rozmowę z młodą dziewczyną w stroju szkolnym, która pomagała mamie. Zwróciłem uwagę na jej świetny angielski. Powiedziała, że codziennie do nocy pomaga mamie, a rano chodzi do szkoły, w której jest do 16.00. Na pytanie, kiedy się uczy czy odrabia zadanie domowe, powiedziała, że nie musi dużo pracować w domu. Nie zauważyłem, aby miała problem z tym, że musi pracować z mamą. Zresztą widać podobne sytuacje na każdym kroku, jest to tutaj standardem. Dzieci dzielą z rodzicami radość, smutki i obowiązki.

W czasie spaceru postanowiłem wejść do parku, który znajduje się w centrum miasta. Na szczycie znajdującej się w nim góry mieści się kolejna świątynia. Warto się jednak tam wspiąć, ponieważ rozpościera się stamtąd świetny widok w każdym kierunku. Nie złapałem zadyszki, więc z moją kondycją nie jest źle. Zszedłem drugą stroną góry i znowu podziwiałem wąskie i zadbane uliczki Luang Prabang – miasta, które znalazło się na liście UNESCO ze względu na swoją historyczną i piękną zabudowę. Po drodze ponownie udałem się na dobre jedzenie,

wypiłem też kawkę i sok z owoców. Naładowałem baterie i przyszedł czas, aby powoli przygotować się do wyjazdu. Czekala na mnie nocna podróż autobusem do Wietnamu, do Da Nang. Nie do końca jeszcze wiedziałem, jak tam dotrę, ale pomyślałem, że jakoś to będzie.

Zdjęcia 77–98. Luang Prabang.



































22 grudnia około 17.00 odebrał mnie bus i zawiózł z hotelu na przystanek autobusowy, gdzie jeden z dwóch Wietnamczyków w busie kupił mi bilet do Vinh, skąd miałem się przesiąść na pociąg lub autobus do Da Nang. Poznałem też młodą dziewczynę – jak się później okazało: Marlenę, Polkę z Podkarpackiego. Marlena trochę pracuje za granicą, trochę podróżuje po

świecie. Szuka swojego miejsca, zresztą jak wielu młodych ludzi z Europy, których licznie spotykałem każdego dnia.

Na miejscu okazało się niestety, że nie jest to taki komfortowy autobus, o jakim myślałem i jakim kiedyś podróżowałem na trasie Hanoi do Sa Pa, gdzie każdy ma swoją kajutę. Ten miał miejsca leżące, pojedyncze lub podwójne, na dwóch poziomach. Dodatkowo od razu dało się zauważyć, że ludzi jest bardzo dużo. Początkowo zresztą myślałem, że część czeka na inny autobus. Po jakimś czasie nastąpił załadunek ludzi i towarów. Jeden z Wietnamczyków z załogi autobusu, który zasadniczo jechał do Hanoi, przydzielał ludziom miejsca według swojego uznania, przy czym większość miejsc pojedynczych przypadła kobietom. Na końcu autobusu znajdowały się dwie płaskie powierzchnie, gdzie także wciśnięto ludzi. Reszta osób, która nie załapała się na miejsca leżące, została usadowiona w przejściu. Po całym załadunku sytuacja wcale nie wyglądała dobrze, nie było żadnej możliwości ruchu, nie dało się nawet dojść do kierowcy. Ja na dodatek dostałem górne łóżko przy oknie, co powodowało, że nie mogłem ani usiąść, bo byłem za blisko sufitu, ani zejść z miejsca bez wcześniejszego zejścia mojego współpasażera, młodego Holendra. Dodatkowo pomiędzy nogami miałem plecak, co powodowało, że mogłem leżeć tylko na wznak i nie ruszać się w żadnej pozycji poza ugięciem nóg. Na szczęście na pierwszym przystanku położyłem plecak pod swoje siedło, dzięki czemu zyskałem odrobinę przestrzeni.

Sama myśl, że mam tak podróżować do 10.00, tj. 16 godzin, jak zostało mi zakomunikowane, napawała mnie dużym dyskomfortem. Jak się później okazało, jechałem do 16.00, czyli 22 godziny. Najgorsze miało dopiero nastąpić: kierowca włączył klimatyzację i na górnych łózkach zrobiło się niesamowicie zimno. Udało mi się otrzymać kołderkę i poduszkę, ale niestety, jak część innych osób, sugerowałem się pogodą w Laosie i jechałem w spodenkach. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy po około czterech godzinach, w środku nocy, gdy w małej wsi w laoskiej dżungli zatrzymaliśmy się na toaletę. Okazało się, że jest przenikliwie zimno – zaledwie 6°C. Nie mogłem wyjąć ciepłych rzeczy, bo znajdowały się w głównym bagażu gdzieś w ładowni autobusu.

Kiedy byłem w maju w Laosie, miałem okazję jeździć niezłymi drogami, nawet autostradą Wientian do Vang Vien. Trasa Luang Prabang nie należała do jednak priorytetowych i dobrze doinwestowanych. Nazwanie jej drogą asfaltową stanowiłoby nadużycie: był to zniszczony, wąski asfalt, wymieszany z drogą gruntową, zdatną do podróżowania tylko w porze suchej. Kierowca jechał z prędkością pomiędzy 30–45 km/h. Przez cały czas po górach, a więc raz w dół, raz w górę i ciągle po zakrętach. Czasami warunki skrzytu okazywały się tak trudne, że

musiał się cofać i podchodzić do manewru ponownie. Co gorsza, głównymi samochodami mijanymi raz na kilka – kilkanaście minut były wielkie ciężarówki. Chwilami autobus tak się przechylał, że obawiałem się wywrotki. Przez cały czas jechaliśmy przez laoską nieoświetloną dżunglę. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby autobus się zepsuł lub miał wypadek. Laoska dżungla to miejsce, gdzie rządzą tylko zwierzęta, gdzie na wolności żyją przecież tygrysy, o wszelkiego rodzaju węzach czy ogromnych robakach nie wspominając.

Mieliśmy jeszcze jeden postój na toaletę i około 7.00 zbliżyliśmy się do granicy z Wietnamem, czyli cywilizacją. Samo przekroczenie granicy zajęło nam ponad dwie i pół godziny. Musieliśmy opuścić autobus i terytorium Laosu, następnie rozpakować autobus i z bagażem przejść przez przejście graniczne z Wietnamem. Później długo czekaliśmy, aż skończy się kontrola naszego autobusu, a zrobiono to bardzo wnikliwie. Później czekaliśmy jeszcze na Kanadyjczyków, z których dwoje nie miało wizy – otrzymali ją na granicy, ale okazało się, że nie mają zdjęć. Trzeba je było więc ściągać i wysyłać na prywatnego maila pogranicznika wietnamskiego itp. Zresztą sami szaleni Kanadyjczycy, małżeństwo i dwóch młodzieńców, przejechali wcześniej trasę Portugalia – Istanbuł, następnie Tajlandię, część Laosu, nasz odcinek z rowerami na dachu autobusu, a następnie planowali pokonanie trasy Hanoi-Ho Shi Minh.